



FRAGMENT POWIEŚCI „SURDUT CZY REWERENDA”

Szafrńska Amelia, *Surdut czy rewerenda. Opowieść o Edmundzie Bojanowskim*, wyd. 4, Warszawa 1999 (wyd. 1-3: 1976, 1989, 1990).

CZARNY KRZYŻ

Siąpił kapuśniaczek, gdy Edmund wracał z rannego nabożeństwa. Święta Góra stała się dlań teraz drugim domem. Cisza świątyni i ta niemal odczuwalna obecność Boga wpływały kojąco, pomagały w podejmowaniu decyzji, układaniu planów. Wymykał się z domu wcześniej rano, a gdy poczciwa, choć niedołączna już Katarzyna chciała usłużyć swemu pupilkowi, by nie wychodził na czczo, z uśmiechem dziękował, powtarzając jakby do siebie „Mnie inny pokarm potrzebny...” Wycofywała się wtedy do kuchni i ciężko postukując dębową laseczką mruczała: „Jaśnie pan od maleńkości cuduje”.

Ostatnia wypełniona szczękiem oręza wiosna zmęczyła go nieco. Czuł się osłabiony. Z trudem wstępował pod górę, pocił się przy najmniejszym wysiłku. - Wypocznę, to i słabość mnie - pocieszał się.

Szedł bardzo powoli i mimo że drobny kapuśniaczek zmienił się w deszcz ze śniegiem i zacinął w oczy, skręcił przez pola nadkładając drogi. Patrzył na wyłaniającą się tu i ówdzie spod śniegu oziminę. - Jestem jak ten ptak niebieski - myślał - co to nie sieje, nie orze, a jakoś żyje.

- Przywiązany był do tej ziemi, ale czy sam chciałby się zajmować uprawą? Matka słusznie powtarzała: „Każdy człowiek ma swój los zapisany w niebie”. Ale co było jemu zapisane? Ileż to razy widział już jakiś wytknięty cel w życiu, lecz później wszystko się jakoś rozwiewało, upadało. Nauka, poezja... Ze splątanych ścieżek trudno było wybrać najprostszą.

Mijał chłopskie zagrody, gdy naraz z trzaskiem otworzyły się jakieś drzwi i z chałupy wypadła kobieta z dzieckiem na ręku. W sonej twarzy gorzały przerażone oczy.

- Ratujcie, jaśnie panie!

Edmund, wyrwany z zamyślenia, przystanął, przyjrzał się uważnie kobiecie.

- Co wam?

- Ratujcie, dobrodzieju, mój umiera!

- Co się stało? Gdzie on?

- Zaraza, panie - jęknęła kobieta, cofając się w głąb chaty.

Edmund zdrętwiał. Czyżby i tu dotarła owa straszna choroba, o której coraz głośniejsze było w Księżstwie?

- Ale co mu jest? - pytał stojąc przed progiem.

- Zimno go trzęsie - mówiła, ocierając twarz fartuchem. - Niczego w sobie utrzymać nie może. Z gęby mu się takie białe leje. A za swoją potrzebą to nijak zdążyć nie może.

Edmund już wiedział. Jak żywa stanęła mu przed oczyma epidemia cholery z 1837 roku. Tak, to typowe objawy: uczucie zimna, wodniste stolce, białawe wymioty. Instynktownie cofnął się parę kroków. Nagle zatrzymał się. Sięgnął do kieszeni surduta, szukając pieniędzy. Namacał talara, ważył go dłuższą chwilę w dłoni. Położyć na progu i odejść? Wśród zawodzeń kobiety usłyszał teraz głuchy, niby ze środka trzewi się dobywający jęk chorego. Postąpił parę kroków naprzód. Przyciskając do siebie kapelusz i wstrzymując oddech, przekroczył próg.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - powiedział.

W izbie panował półmrok. Dopiero po pewnym czasie spojrzawszy w stronę, skąd dochodził jęk, dostrzegł leżącego na barłogu mężczyznę. Na jego sinej pomarszczonej twarzy widać było głęboką podłużną szramę. Edmund przypomniał sobie niedawną bitwę o Gostyń. Tak, to ten człowiek... Wtedy ocaliłem mu życie. Czyżbym teraz miał stchórzyć i srebrnym talarem oszukać sumienie?

Zgniły fetor bił od strony barłogu. Chory miał półprzymknięte oczy, twarz zroszoną potem, zmierzwione włosy. Nagle poruszył się. Edmund myślał, że chce coś powiedzieć, ale Gałązka przewrócił się tylko na bok, a z ust jego chlusnął białawy lepki strumień, prosto na trzymany wciąż w ręce kapelusz i buty gościa. Edmund odruchowo cofnął się i nagle, jak gdyby nie mógł znieść dłużej zawodzenia kobiety, prawie krzyknął:

- Uciszcie się! Tym na pewno nie pomożecie choremu.

Umilkła natychmiast, podeszła chwiejąc się do łóżka i dopiero teraz zobaczyła, co się stało. Zaczęła bezradnie wycierać fartuchem zabrudzone buty. Edmund oddał jej kapelusz i usiadł na zydlu. Ach, gdyby tu był Matecki lub Gąsiorowski! Przypomniał sobie, jak wielkim niebezpieczeństwem jest odwodnienie organizmu.

- Dajcie mu pić - powiedział do kobiety, która również przysiadła na skraju ławy. A gdy tak siedziała bez ruchu, sam podszedł do kuchni. Ogień już wygasł, ale woda w jednym z saganków była jeszcze ciepła. Nalał trochę do glinianego kubka. Wrócił do łóżka, uniósł lekko głowę chorego i przystawił kubek do spieczonych warg. Mężczyzna pił łapczywie. Edmund poprawił wypełnioną sianem poduszkę. Teraz dopiero zauważył, że nieszczęśnik leży we własnych odchodach.

- Oporządkujcie męża - zwrócił się do kobiety, która wciąż siedziała bez ruchu - i zróbcie mu napar z czarnego bzu lub rumianku. Albo z mięty.

- Kiej nijakiego bzu nie mam, jaśnie panie - powiedziała jak wyrwana z letargu, lecz wciąż siedziała nieruchoma.

- Może być sam rumianek. - Wyciągnął z kieszonki zegarek. Dochodziła dziesiąta. Był umówiony z Teofilem, mieli jechać do Leszna. Pewnie się niecierpliwi. Zajrzę tu jeszcze. Trzeba wezwać medyka.

Kiedy wyszedł na dwór, poczuł zawrót głowy i mdłości. Czyżbym i ja...? - pomyślał i oblał się zimnym potem. Wiatr smagał po twarzy i rozwiewał włosy. Brudny kapelusz został u Gałązków. A więc tak wygląda służba innym... - Uśmiechnął się na myśl o jałmużnie - Trzeba własnymi rękami dotknąć nędzy. To nie to samo co pisać lub udzielać rad. Tu trzeba po prostu dać siebie... Tak zwyczajnie dać siebie, bo ktoś tego potrzebuje. Czym zdolny do takowej ofiary?

Kiedy stanął przed domem, Teofil krzyknął na jego widok:

- Człowieku, jak ty wyglądasz! Gdzieżeś chodził do tej pory bez jedzenia?

Edmund stał jak winowajca, przecierając końcem fularu zapocone okulary.

- Na wsi byłem -- odpowiedział cicho. -- Pewnie u cholerycznego.

- U kogo?

- U cholerycznego. Wojciecha Gałązki -- wyjaśnił spokojnie.

Zapadał zmierzch, kiedy zbliżał się do zagrody Gałązków. Z daleka już spostrzegł wymalowany na drzwiach czarny krzyż. Zewsząd unosił się zapach chloru. A więc była już dezynfekcja. Rozejrzał się po izbie, szukając kobiety. Ujrzał ją w mroku, leżącą na łóżku naprzeciw chorego. Podeszedł bliżej i pochylił się. Oddychała ciężko. Wyciągnęła ręce przed siebie, chciała coś mówić, lecz z gardła wydobywało się tylko dziwne skrzeczenie. Z ruchu warg domyślił się, że woła księdza. Widząc, że umiera, pochylił się jeszcze niżej i opanowując drżenie głosu powiedział: - Pan Bóg już ci przebaczył. - Kobieta jakby zrozumiała, a może tylko osłabiona przycichła. Oddychała coraz ciszej, potem znieruchomiła.

Oto znowu spełniało się przed nim misterium śmierci. Na ułamek sekundy przeniósł się myślą do grabonoskiego dworku. Matka umierała zupełnie inaczej, a przecież było tu jakieś podobieństwo. Dwie mizerne istoty ludzkie: tamta z dworu i ta z chałupy. Gdyby nie Bóg, byłyby tak samo opuszczone i samotne. Przed chwilą wzdrygnąłby się jeszcze na myśl, że mógłby dotknąć zmarłej. Teraz jednak powoli zamykał jej powieki, składał ręce na piersiach. Potem przyklęknął i zaczął mówić półgłosem Wieczny odpoczynek.

Z kąta dobiegło ciche pochlipywanie. Ten głos jakby go ocucił. Teraz dopiero zauważył, że w izbie było już zupełnie ciemno.

- Świecy nie macie? - zapytał spokojnie, jakby nic się nie stało.

- Leży na okapku - odpowiedział dziecięcy głos. Podeszedł do pieca. Długo szukał, nim namacał podłużny kształt.

- A siarniki?

Nie było odpowiedzi. Zaczął przetrząsać kieszenie. Są. Migotliwy blask rozjaśnił izbę. Zapalił świecę i rozejrzał się dookoła szukając dzieci. Siedziały wystraszone w kącie koło pieca. „Pewnie głodne” - pomyślał. Z torby na lekarstwa wydobyl parę bułek, od razu wyciągnęło się po nie kilka rąk.

Długo rozniecał ogień w wygaszonym palenisku, parząc sobie ręce. Mokre drzewo skwierczało, dusiło się, gasło. Dzieci jadły i przyglądały mu się w milczeniu. Nagle najstarszy chłopak powiedział cicho: - Nie tak, nie umiecie... - Wstał, podeszedł do łóżka ojca. Gałązka ciężko leżał z półprzymkniętymi oczami. Chłopiec wyciągnął spod niego dużą garść słomy. Zręcznym ruchem wepchnął ją do paleniska. Buchnął jasny płomień, obejmując podsuszone już polana.

- Widzisz - odezwał się Bojanowski - ja jestem taki duży, a nie umiem w piecu napalić, a ty taki mały i potrafisz.

Wyjął z torby zioła i proszki. Przygotował napar, wsypał lekarstwo do kubka i uniósłszy głowę chorego, przytknął mu do warg, które jednak pozostały zaciśnięte. Podważył łyżeczką i

wlał trochę płynu do ust. Gałązka mlasnęła parę razy językiem i pił już bez oporu. Ożywił się trochę. ~ Nogi bolą - wyszeptał. Edmund odsunął pierzynę i nacierał spirytusem kamforowym wychudzone golenie. Potem zwrócił się do dzieci:

- Idźcie spać, bo pora już późna. „Tylko gdzie?” zastanawiał się. Na jednym łóżku trup matki, na drugim chory ojciec... Rozejrzał się po izbie. Za piecem były jakieś drzwiczki. Podszedł i otworzył je. Z komórki wydobywał się zapach siana i stęchlizny. Edmund zawrócił po świecę.

(...) Nogi grzęzły w błocie. Wlókł je ciężko za sobą. Uczuł senność i głód. Na chałupie, obok której właśnie przechodził, również zauważył krzyż. Jakiś człowiek na długim kijku wstał do sieni węzełek. Pewnie żywność. Chwała Bogu za miłosierne serce.

Im bliżej był dworu, tym bardziej przyspieszał kroku. Chciał dostać się niepostrzeżenie do pokoju. Aby tylko pies nie zaszczekał, gdy usłyszy skrzypnięcie bramy... Dzięki Bogu udało się. Już był na górze. Nie rozbierając się runął na łóżko.

- Kara Boża - mówił młody filipin, gdy Edmund wychodził po rannej mszy. - Z ostatnią posługą nie nadążamy. Wczoraj chowano zmarłych jak Żydów w prześcieradłach, bo desek na trumny brakło. W Poznaniu na Chwaliszewie trupy kładą pod murem, skąd je żałobny furgon zabiera prosto na choleryczny cmentarz. Pan dobrodziej będzie zapewne obecny na wieczornym nabożeństwie - dodał, ponieważ Edmund nic nie mówił. - Ruszy procesja błagalna o odwrócenie zarazy.

Powoli schodził z góry, a kiedy skręcił do Gostynia, usłyszał bicie dzwonów. Ulice były jak wymarłe, nigdzie żywego ducha, tylko żandarmi na drzwiach narożnego domu przybijali tabliczkę z napisem „cholera”. Gdy doszedł do rynku, zobaczył, że drzwi jakiegoś domu, na którym wymalowano sadzą czarny krzyż, otwierają się. Na progu stanął doktor Catt w czarnej pelerynie z kapturem. Zobaczywszy Edmunda, zdziwił się niepomiernie.

- Co pan tu robisz u Boga Ojca? Czyżby we dworze ktoś zachorował?

(...)

- Bułek już od kilku dni nie piekę. Mam jeszcze parę bochenków chleba, ale czerstwego, dwa suszone sery, połec wędzonej słoniny.

- Wszystko, wszystko, co jest... Głowy cukrowe, soki...

Właściciel zajazdu patrzył z niedowierzaniem.

- Do Grabonoga głód chyba nie zagląda? Dla kogo zatem, jeśli wolno spytać?

- Jest wielu głodnych i chorych - powiedział krótko Edmund.

Po chwili wychodził objuczony ciężką torbą. Dzwony na wieży kościelnej znów były. Ich dźwięk spiżowy, groźny a zarazem żaloszny, przelewał się pustymi ulicami, odbijał głuchym echem od wymarłych domów. Edmund przystanął na środku rynku. Dokąd iść najpierw? Spojrzał na najbliższy dom, na którym wymalowany był czarny krzyż. Wszedł bez wahania. Straszliwy zaduch omal nie powalił go w progu. Otworzył drzwi na oścież. W środku nie było nikogo. Tylko w kącie na przegniłym barłogu konał jakiś człowiek. Pierś unosiła mu się gwałtownie, otwartymi ustami łapał powietrze. Nie mógł mówić, ale patrzył przytomnie i jak gdyby na coś czekał. Edmund ukląkł przy nim i głośno, wyraźnie, tak żeby tamten mógł zrozumieć, zaczął odmawiać litanię za konających:

- ...odpuść mu winy, bo z całego serca za nie żałuje, a w dzień sądu Twego wybaw go, Panie...

Tego dnia odwiedził jeszcze niejeden dom oznaczony czarnym krzyżem. Ogromna torba, pod której ciężarem ugiął się, gdy wychodził od Kuleszy, stawała się coraz lżejsza. Za to nogi i głowa coraz cięższe. Wyczerpany, modlił się prawie, by nie zobaczyć już złowrogiego czarnego znaku, ale ilekroć postanawiał wracać do domu, okazywało się, że jeszcze ktoś oczekuje pomocy, komuś potrzebne są lekarstwa, kawałek chleba, słowo pociechy czy po prostu modlitwa. W ustach miał smak chloru, którym wysypane były obejścia. Zbierało mu się na wymioty. Coś podchodziło do gardła. Oparł się o najbliższy dom i stał tak przez chwilę. Usłyszał turkot wózka. Ciągnęło go dwóch ludzi. Na nim skrzynka, to pewnie trumna. Przed tym niemym konduktem szedł człowiek z latarnią. Edmund wziął torbę i ruszył za nim.

Dzwony na Świętej Górze były na procesję, gdy wlokąc się ostatkiem sił stanął przed dworkiem. Było ciemno, cieszył się, że nikt od Teofilów go nie zobaczy. Drzwi otworzyła Katarzyna. Starowina aż oczy przecierała ze zdumienia, nie mogąc poznać swego panicza.

- Jezus Maryja! -wykrzyknęła. -Toż to nieboszczyk w trumnie lepiej wygląda niż jaśnie pan. Trzeba sumienia nad sobą nie mieć! Co ja teraz z jaśnie panem zrobię? Wypocząć by choć parę dni należało. A tu wszyscy cały dzień pana szukają. Pan Teofil, ludzie jakies...

- Co za ludzie?

- A różni. Z Grabonoga i z Podrzecza, z Gostynia i Strzelcza. Gadali, że po ratunek przyszli. Trupio bladą twarz Edmunda rozjaśnił uśmiech. Ale Katarzyna już tego nie widziała: zaczęła się krzątać, podała wodę do mycia, szykowała strawę.

Wieczorem Edmund klęcząc przy łóżku długo się modlił. - Więc oni mnie potrzebują - powtarzał. - Szukali mnie... - i w odruchu niewysłowionej wdzięczności spojrzął na duży czarny krucyfiks.



Szkoła Wyższa Przymierza Rodzin w Warszawie-Ursynowie
im. bł. Edmunda Bojanowskiego